

Do przyjaciół tradycjonalistów

Bardzo to wygodne dla samopoczucia: "my" jesteśmy świetni, tylko "oni" nie pozwalali nam tego dowieść - pisze Dariusz Kosiński.



zdj. mat. teatru

Po ostatnim moim felietonie - polemice z Piotrem Zarembą - na forum e-teatru odbywała się ożywiona dyskusja, której ton nadawali ludzie deklarujący się jako przeciwnicy teatralnego "postmodernizmu", z utęsknieniem czekający chwili, kiedy wprowadzana przez nowy rząd "dobra zmiana" obejmie także teatr. Niestety, o ile zdołałem się

zorientować, według nich zmiana polegać miałaby głównie na ograniczeniu wpływu "postmodernistów" i "lewaków", odebraniu im wsparcia ze środków publicznych, by uzyskane w ten sposób pieniądze zasiliły konta tradycyjnych teatrów dramatycznych. Te, wzmocnione finansowo i oczywiście obsadzone godnymi ludźmi, natychmiast zaczną tworzyć wybitne przedstawienia, co oznaczać będzie powrót do dawnych, wspaniałych tradycji (nie pytam: jakich, bo lepiej zostawić umarłych umarłym). Obawiam się, że jest to myślenie życzeniowe, połączone z kulturalną wersją syndromu TKM, zakładającą, że "nasi" nie są doceniani i znani, tylko dlatego, że istniał jakiś "układ" uniemożliwiający im dostęp do scen, ekranów, mikrofonów i pieniędzy. Bardzo to wygodne dla samopoczucia: "my" jesteśmy świetni, tylko "oni" nie pozwalali nam tego dowieść.

Ponieważ takie myślenie jest mi z gruntu obce, a deklaracje troski o różnorodność kultury nie łączą mi się z postulatami odbierania stanowisk i uniemożliwiania pracy innym, chciałbym wspólnie z teatralnymi konserwatystami pochylić się z troską nad teatrem dramatycznym w Polsce. Z troską autentyczną - wbrew temu, co sugerowała część oponentów, nie mam nic przeciwko teatrowi dramatycznemu. Tylko porozumy się najpierw, co to takiego jest.

Zapewne wszyscy się zgodzimy, że teatr dramatyczny to nie jest każdy teatr posługujący się napisanym wcześniej tekstem, wszystko jedno - dawnym czy współczesnym. Znienawidzony przez konserwatystów Jan Klata też przecież posługuje się tekstem dramatycznym, czyta go uważnie i wystawia, czasem nawet tak wiernie, że recenzenci, którzy na ogół nie czytają, mają mu to za złe ("Król Ubu" Alfreda Jarry'ego). Część osób komentujących mój felieton, w niewybredny sposób atakowała nawet Michała Zadare, który właśnie wystawia cały tekst "Dziadów", czego nigdy nie zrobił żaden tradycyjny, "literacki" reżyser. Dla nich teatr Zadary to też nie jest teatr dramatyczny. Można oczywiście pomyśleć, że to syndrom emocjonalnego zaćmienia umysłu, albo dowód na to, że w nie chodzi o żadną tradycję, tylko o stanowiska dla siebie i swoich. Ja jednak myślę o moich oponentach lepiej niż oni o mnie, więc zakładam, że emocjonalne inwektywy wyrastają z jakiegoś programu, lub co najmniej - wyobrażenia o teatrze dramatycznym. Teatr ten - jeśli dobrze rozumiem - miałby wyprowadzać kształt sceniczny przedstawienia z uważnej reżyserskiej i aktorskiej lektury tekstu, nastawionej na najpełniejsze wydobycie jego sensów przy możliwie najwierniejszym zachowaniu wszystkich elementów świata przedstawionego, jakie z tekstu odczytać się dają. Zachowane w miarę możliwości bez zmian byłyby nie tylko słowa (jak u Zadary), ale też kształty (nawet mgliste) sytuacji i historycznych wyobrażeń. Gustaw-Konrad w tradycyjnym stroju romantyka błąka się po operowym ciemnym lesie wypożyczonym z "Wolnego strzelca" i rozmawia z Czarnym Myśliwym polszczyzną nowogródzko-wileńską. Dyndalski w kontuszu gęsim piórem skrobie list, który mu dyktuje jego karmazynowy pan. Konrad na tle odwróconych blejtramów dyskutuje z kolejnym Maskami wynurzającymi się z mroku, męcząc wszystkich obecnych meandrami własnej myśli, by w finale zobaczyć Polskę jako obłok...

Wspaniale! Cudownie! Zróbmy to! Zróbmy jak najszybciej. Podpisuję się rękami i nogami, a nawet jestem w stanie wesprzeć narodową zrzutkę na teatr, który tak będzie pracował. Naprawdę marzy mi się "Fantazy" lub tak zwany "Horsztyński" mówiony z werwą, zmiennością temp i intonacji, z przedniojęzykowym "ł", pochyłym "e" i dźwięcznym "h", z całą wirtuozerią scenicznego języka Juliusza. Z dziką radością słuchałbym wiersza Fredry mówionego z dbałością o wszystkie dźwiękowe i rytmiczne smaczki, z pamięcią wieloletniej tradycji, tych subtelnych różnic między Cześnikami Leszczyńskiego ojca i syna. A już naprawdę jestem gotów się opodatkować na rzecz teatru, który poświęci rok albo i kilka lat pracy, by wyśpiewać i wytańczyć "Legendę" Wyspiańskiego tak jak o tym marzy profesor

Maria Prussak. Albo na rzecz takiego teatru, który mieć będzie dział literacki z prawdziwego zdarzenia, zatrudniający ludzi do przekopywania się przez biblioteki i archiwa tylko po to, by znaleźć zapomniane dramaty i wprowadzać je na scenę jako część "dziedzictwa narodowego". Albo takiego - nawet z przymiotnikiem "chrześcijański" w nazwie - który przestanie wreszcie gadać o wielkości poezji Norwida, ale podejmie poważne próby stworzenia teatru na miarę jego tekstów.

Niestety wszystkie te dodatkowe obciążenia fiskalne mi nie grożą, bo teatru takiego nie ma i chyba długo nie będzie. Nie widzę na horyzoncie nikogo, kto byłby chętny, by go stworzyć. Nie dziwię się, bo po dekadach roztrwania dorobku dwustu lat sceny narodowej przez tych samych ludzi, których dziś czczą rzekomi teatralni konserwatyści, trzeba by się podjąć pracy tytanicznej, nie bacząc przy tym na brak popularności i zapewne wsparcia ze strony krytyków. Trzeba by uwierzyć naprawdę, autentycznie, do szpiku kości w wielkość rodzimej kultury, jej poetów i dramatopisarzy, oddać się im na fanatyczną wręcz służbę i - zgodnie z przyjętymi założeniami - w niczym ich nie fałszować. Pozwolić wybrzmieć w pełni także tym fragmentom ich dzieł, w których mówią rzeczy bardzo bolesne i dalekie od "pokrzepiania serc". Jesteście na to gotowi? Macie tyle wiary w Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, Fredrę i Gombrowicza? Ja mam. Ja byłbym gotów dla takiego teatru pracować na tyle, na ile umiem i na ile mi sił starczy, pod warunkiem, że naprawdę, a nie jedynie w deklaracjach, zgodzimy się co do różnorodności rodzimej kultury i jej tradycji, i nie będziemy naszych Wielkich przykrawać i wykorzystywać ani do doraźnych celów politycznych, ani do walki o wygodę pozycji własnych.

Powtarzam: takiego teatru nie ma i długo nie będzie, bo konserwatyzm teatralny w Polsce to jak dotąd głównie pałka na przeciwników, albo siatka maskująca letnie teatry grające lektury dla szkół i mieszczańskie dramaty dla niemal mitycznych przedstawicieli "klasy średniej", cieszących się, że mogą zobaczyć na żywo panią znaną z reklamy banku. A gdy mówię konserwatyzm nie mam na myśli ideologii politycznej, lecz stosunek do przeszłości i jej dorobku, wyrastający z przekonania, że wartości w nim zawarte trzeba umacniać, a umacnianie to wymaga także troski o środki wyrazu i język. A to, wbrew wypowiedzanym tu i ówdzie naiwnym nadziejom, nie dzieje się samo przez się. Nie jest tak, że wystarczy przegonić tych, którzy tradycję atakują lub omijają, by ukazała się w całej swojej sile. I dlatego zachęcam wszystkich, którym bliski tradycyjny teatr dramatyczny, by przestali

marnować czas i zabrali się do pracy. Bo dopóki, Drogie Konserwatystki i Drodzy Tradycjoniści nie stworzycie jednej choćby sceny próbującej na serio tak pracować, dopóty nie uwolnicie się od podejrzeń, że chodzi Wam jedynie o polityczną propagandę, wycięcie konkurencji, przejęcie władzy, a koniec końców tylko o jedną jedyną tradycyjną polską wartość: święty spokój.

Na zdjęciu: "Król Ubu", Narodowy Stary Teatr, Kraków